

Sławomir Drelich

Liberalizm gospodarczy

Historia i Polityka nr 6 (13), 28-37

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Sławomir Drelich*

Coraz więcej osób ze świata polityki twierdzi, że klasyczny liberalizm gospodarczy nie jest możliwy do osiągnięcia, a jedynym rozwiązaniem gospodarczym jest model hybrydowy, łączący elementy gospodarki rynkowej z modelem świadczeń społecznych, interwencjonizmu itp. Czy faktycznie liberalizm, prezentowany chociażby przez Szkołę Austriacką, wyczerpał się, a wolności ekonomiczne muszą być pod dość znacznym nadzorem państwa?

Rzeczywiście przy współczesnym modelu państwa głęboko zaangażowanego w procesy gospodarcze, państwa będącego efektem działania sił „regulacyjnych”, które niewiele ma wspólnego z wyłaniającym się z ładu samorzutnego „kapitalistycznym rajem”, jak go chcieli widzieć Ludwig von Mises czy Friedrich A. von Hayek, trudno sobie wręcz wyobrazić wcielenie w życie tego odważne-

go modelu państwa minimalnego. W warunkach współczesnego ustawodawstwa ograniczone państwo libertarian, ale nawet państwo minimalne, postulowane przez liberałów klasycznych, zdają się być niemalże utopią. Niezależnie od tego, jak trudno dziś wyobrazić sobie wcielenie w życie tego modelu, jeszcze trudniej wskazać wpływowe środowiska polityczne, których celem byłoby radykalne przebudowanie państwa i gospodarki w duchu leseferystycznym. Nie można jednakże zgodzić się z tezą, że model ten przegrał, że jednoznacznie i ostatecznie się wyczerpał.

Prawdę powiedziawszy model leseferystyczny nigdy nie doczekał się wiernej i zgodnej z założeniami czołowych przedstawicieli tej doktryny implementacji. Amerykański prawdziwie wolny rynek funkcjonował właściwie przez zaledwie kilkadziesiąt lat w zupełnie innych od dzisiejszych warunkach społecznych i makroekonomicznych, a jego krótka i skomplikowana w ocenach historia kończy się wraz z wcieleniem w życie zasad polityki *New Dealu* Franklina Delano Roosevelta. W Europie z kolei nigdy nie mieliśmy do czynienia z prawdziwym państwem liberalnym — ja w każdym razie nie potrafię wskazać takiego przykładu. Niemcy czy Francja przełomu XIX i XX wieku pozostawiały wiele do życzenia. Na pewno Wielka Brytania była bliższa wersji wolnorynkowej, choć pamiętać musimy, że projekt państwa ludowego z tzw. budżetem ludowym (*People's Budget*) wprowadzany przez rządu Davida Lloyd George'a (paradoksalnie przywódcę partii deklaratywnie i historycznie liberalnej) przedstawiony został już w 1909 roku i daleko wyprzedzał rooseveltowski „Nowy Ład”. Historia relacji między polityką a gospodarką po-

* **Sławomir Drelich**, doktor, politolog i etyk, adiunkt, pracuje na Wydziale Politologii i Studiów Międzynarodowych UMK w Toruniu. Laureat 10. edycji stypendium „Zostańcie z nami!”, przyznawanego przez tygodnik „Polityka”. Zajmuje się etyką polityki i etyką mediów, historią idei i doktryn politycznych, marketingiem politycznym oraz spiskowymi teoriami dziejów. Współpracuje z pismem „Liberté!”

kazuje więc, że właściwie wyłącznie z modelami hybrydowymi mieliśmy do czynienia.

Zasadnicze pytanie jednak powinno dotyczyć tego, czy taka historia relacji między państwem a gospodarką przekreśliła i unieważnia model kapitalistyczno-liberalny, model minarchistyczny? Wręcz przeciwnie. Okazać się może, że w dobie „usocjalistycznienia” gospodarki (nie bójmy się nazywać rzeczy po imieniu) libertariańska wersja relacji państwo-gospodarka może stać się jedyną alternatywą. Nadmiar regulacji i postępująca świadomość nieefektywności niektórych rozwiązań centralistycznych (bo przecież z tego typu działaniami mamy do czynienia najczęściej w trudnych okresach walki z kryzysami gospodarczymi) mogą odnowić i umocnić radykalne środowiska libertariańskie. Odpowiedzią na liberalizm socjalny może stać się hasło: „Mniej interwencji!”, odpowiedzią na etatyzację gospodarki będzie hasło: „Mniej państwa!”. Marksowska logika dualistyczna pozwala w każdym razie snuć takie domysły i dopuszczalnym czyni oczekiwanie na wyłonienie się silnej libertariańsko-leseferystycznej opozycji względem pansocjalistycznej filozofii i pragmatyki państwa.

Liberalizm to nie tylko ekonomia. Czy Pana zdaniem, liberalizmowi ekonomicznemu powinien jednocześnie towarzyszyć „liberalizm obyczajowy”? Czy może jednak przyszłość liberalizmu zrodzi konieczność rozpatrywania go na dwóch płaszczyznach odseparowanych od siebie: obyczajowości i aspektów gospodarczych?

Liberalizm obyczajowy — w każdym razie na poziomie legislacyjnym — sta-

nowić musi pewne swoiste minimum aksjologiczne, będące naturalną konsekwencją ideowych wytworów nowoczesności, a zarazem wielką zdobyczą naszej cywilizacji. Trudno w ogóle mówić o odseparowaniu liberalizmu obyczajowego od ekonomicznego (choć zdaję sobie sprawę, że wiele środowisk politycznych taką opcję programową przyjmuje). W klasycznych wersjach liberalizmu — tak u Johna Locke’a czy tym bardziej później u Johna Stuarta Milla — nie wyodrębniano tych sfer i przyjmowano liberalizm z wszystkimi jego konsekwencjami, na wszystkich jego poziomach. Dopiero w XX wieku część myślicieli odwołujących się do liberalizmu postanowiła odciąć się od ewentualnych obyczajowych konsekwencji myślenia wolnościowego. Oczywiście nie dajmy się zwariować, bo przecież nie doszukamy się u J. Locke’a, Adama Smitha czy J. S. Milla postulatu legalizacji związków homoseksualnych, czy zagwarantowania jako jednego z fundamentalnych praw człowieka jego prawa do eutanazji na życzenie. Jednakże millowskiego zaangażowania w sprawy emancypacji kobiet nie można traktować inaczej, niż zaangażowania współczesnego działacza liberalnego w sprawę chociażby związków partnerskich. Postulaty emancypacyjne sufrażystek były w XIX wieku nie mniej kontrowersyjne od współczesnych postulatów tzw. „środowisk tęczyowych”. Różne epoki mają swoje tabu, swoje kontrowersje i w różny sposób owe tabu są łamane. W drugiej połowie XIX wieku takim tabu, takim kontrowersyjnym działaniem była sprawa feministyczna (wtedy jeszcze tak nie nazywana). J. S. Mill nie bał się zaangażowania po stronie tak kontrowersyjnego stanowiska, co — jeśli włączyć się w lektury jego eseju *O wolno-*

ści — zdaje się być wyłącznie naturalną konsekwencją zarysowanych tam fundamentów liberalizmu.

Dalekim trzeba jednak być od heglowskiego przekonania o „koniecznościowym” rozwoju dziejów i bynajmniej postulatów współczesnych liberałów aksjologicznych nie należy w tym kontekście rozpatrywać. Jeśli jednak mówimy „tak” liberalizmowi, wówczas musimy powiedzieć „tak” jego wersji ekonomicznej, politycznej, ale również społecznej, kulturowej czy obyczajowej. Gdy przyjrzymy się pismom J. S. Milla, wówczas przekonamy się, że tam mieliśmy do czynienia z liberalizmem pełnym i dojrzałym, można by go nazwać liberalizmem integralnym — takiego liberalizmu oczekiwałbym dziś: millowskiego, ale na miarę naszych czasów, kontrowersyjnego, ale przy tym racjonalnego, odważnego, ale niekoniecznie rewolucyjnego. Liberalizmom „szczątkowym” brak tej millowskiej odwagi względem zmieniającej się rzeczywistości społecznej i kulturowej, ich przedstawiciele wołają zaszyć się w szarym koncie w oczekiwaniu na „załatwienie” kontrowersyjnych spraw na polu bitwy przez radykalnych lewaków, potrafiących wyłącznie kontestować współczesny im system, i ich odwiecznych przeciwników, konserwatystów, żyjących dniem wczorajszym. Jednak liberalizm zaszyty w szarym kącie nie jest liberalizmem na miarę J. Locke’a, A. Smitha czy J. S. Milla.

We współczesności mamy do czynienia z mnóstwem liberalizmów „łatwych”. Dajmy na to amerykański libertarianizm: trzeba go nazwać takim liberalizmem „łatwym”, albowiem godzi się on na przyjęcie rozwiązań wolnorynkowych, radykalnie leseferystycznych (czasem wręcz utopijnych), ale zarazem

odrzuca liberalizm w wersji kulturowej czy światopoglądowej, w tym obszarze pozostaje w okowach konserwatyzmu i interpretuje rzeczywistość społeczną za pomocą pojęć nieadekwatnych w stosunku do zmieniającego się świata. Podobnie należałoby patrzeć na ruchy tzw. nowej lewicy, które przyjmują hasła liberalizmu światopoglądowego, negując tym samym podstawy liberalizmu ekonomicznego. Nazywam te nurty liberalizmami „łatwymi”, bowiem czerpią one z liberalizmu wyłącznie to, co dla nich wydaje się ciekawe, atrakcyjne i inspirujące, nie podejmują jednak wystarczającego wysiłku, aby przemyśleć inne poziomy myślenia liberalnego. Zdają sobie oczywiście sprawę z hybrydalności współczesnych form myśli politycznej, jednakże jeśli chcemy któreś z nich nazywać liberalizmami, wówczas przyjęcie należy podejść liberalne zarówno w sferze ekonomicznej, jak i obyczajowej.

Na początku lat 90. minionego wieku wielu publicystów było przekonanych o tym, że w Polsce doszło do „rewolucji liberalnej”. Czy po 20 latach od początku transformacji ustrojowo-gospodarczej twierdzenie to nadal jest aktualne?

Określenie „rewolucja liberalna” to jednak w warunkach polskich chyba pewna przesada. Początek lat 90. przyniósł Polsce i Polakom coś w rodzaju „rewolucji liberalnej” jedynie z pozoru. W rzeczywistości bowiem mieliśmy do czynienia z odgórnym procesem implementowania liberalnych rozwiązań gospodarczych i systemowo-politycznych, które niewiele miały wspólnego z rewolucją, będącą *ex definitione* procesem oddolnym. Ustawodawstwo wprowadzające mechani-

zmy wolnorynkowe do polskiej gospodarki, a także zmiany ustrojowe w duchu liberalnej demokracji, były w jakimś sensie zmianami rewolucyjnymi, ale cały ten proces był sterowany przez ówczesne (będące w większości także współczesnymi) elity polityczne. I owszem, początki III RP pokazywały wielkie poparcie społeczne dla przemian w duchu liberalno-demokratycznym, ale poparcie to szybko stopniało, kiedy tylko zmiany zaczęły skutkować potężnymi społecznymi kosztami, jak chociażby hiperinflacja, lawinowo rosnące bezrobocie, upadek tysięcy przedsiębiorstw itp. Czy nadal możemy mówić o tych przemianach jako o rewolucji? Jeśli tak, wówczas chyba bardziej adekwatne byłoby powiedzenie za Georgesem Jacquesem Dantonem, że „rewolucja jak Saturn pożarła własne dzieci”.

Zamiana ustroju politycznego i gospodarczego nie przyniosła w Polsce również żadnej formy rewolucji społecznej czy kulturowej. Zmiany obyczajowe dokonywały się w sposób powolny i systematyczny, ale — o tym nie wolno nam zapominać — dokonują się one nadal. „Macdonaldyzacja” i „westernizacja” kultury w pierwszych latach po 1989 roku były procesami dość powierzchownymi: napływ kapitału zachodniego i nowych — niedostępnych dotychczas na polskim rynku — towarów był szokiem dla PRL-owskiej szarzyzny i nieustannego poczucia braku, wolne media przyniosły nam amerykańskie filmy, programy telewizyjne, a także programy informacyjne pracujące już według innych standardów. Wzorcy kulturowe, jakimi jesteśmy od tamtego czasu bombardowani, nie spowodowały jednak żadnej rewolucji obyczajowej, aczkolwiek systematyczna zmiana w podejściu Polaków do kwestii aksjologicznych cały czas jest dostrzegalna.

Można znaleźć wiele wskaźników, które dowodziłyby tak postawionej tezy: stosunek do Kościoła katolickiego, ograniczone poparcie do ustawy liberalizującej prawo do aborcji w latach 90., postulaty legalizacji związków partnerskich i słaby oddźwięk społeczny w tej kwestii, fiasko pomysłów w sprawie zalegalizowania konkubinatów. Jeśli prześledzić dane sondażowe z ostatniego dwudziestolecia, wówczas okazałoby się, że stosunek Polaków do tych czterech wybranych kwestii zmieniał się i zmienia się bardzo wolno, acz systematycznie. Trudno więc mówić tutaj o rewolucji.

Jeśli jednak koniecznie chcielibyśmy taką rewolucję dostrzec, to możliwe jest to wyłącznie w jednym przypadku: kiedy porównujemy stosunek do zmian obyczajowych i kwestii światopoglądowych między przedstawicielami pokolenia, które obalało w Polsce komunizm, a tymi, którzy dorastali już w całkowicie wolnej i suwerennej Polsce. Nie znam takich badań, jednak podejrzewam, że dałoby się dostrzec bardzo dużo różnic między obu pokoleniami. Czyż jednak tego typu zmiana spojrzenia na świat między ludźmi różnych pokoleń jest czymś nadzwyczajnym i rewolucyjnym?

Analitycy szukający wyjścia z współczesnego kryzysu ekonomicznego, w ujęciu modelowym, prezentują przynajmniej dwie koncepcje:

– jedna zakłada w odniesieniu np. do Europy zwiększenie dyscypliny finansowej poszczególnych państw, wprowadzenie mechanizmów nie pozwalających się zadłużać powyżej pewnego progu, a także centralizację europejskich finansów publicznych;

– druga mówi, że walkę z kryzysem należy rozpocząć poprzez ciecia wydatków w sektorze publicznym, walkę z biurokracją, decentralizację decyzji.

Który model jest Panu bliższy i dlaczego?

Model pierwszy jest z perspektywy liberalna bardziej niebezpieczny. Wyjściowo bowiem wszystkie pomysły zakładające centralizację, kontrolę i ograniczanie swobody są wrogię myśleniu wolnościowemu. Pomysły tego typu zakładają omnipotencję jakiegoś „nowego Lewiatana” — w tym przypadku instytucji Unii Europejskiej — który będzie mówił rządów państw członkowskich, co im wolno a czego nie, jak gospodarować swoimi finansami, a jak nie. Każdy „nowy Lewiatan” stanowi dodatkowe ogniwo ograniczeń indywidualnych wolności i praw podmiotowych, stąd siłą rzeczy budzi nieufność, a niekiedy wręcz strach w ludziach, którym bliskie są ideały wolności.

Z drugiej jednak strony, trzeba by się zastanowić, jaką różnicę robi nam to, czy zakazuje nam nowy czy stary Lewiatan? Owszem, polski „suwerennościowiec” będzie wolał, aby kontrolował go polski rząd, ale „kosmopolita” czy „europatriota” może godzić się na jakiegoś „euro-Lewiatana” pod warunkiem, że będzie on w swoich decyzjach bardziej racjonalny — tak jednak nie zawsze musi być. Instynkt liberalny podpowiada mi, że lepiej, wygodniej i bezpieczniej dla mnie, jeśli Lewiatan będzie gdzieś daleko, bo wtedy jego macki niekoniecznie mnie dopadną i istnieje większe prawdopodobieństwo, że nie uda mu się kontrolować mnie nadmiernie. Przykład Unii Europejskiej niekoniecznie jednak musi być potwierdzeniem tego *stricte* instynk-

townego, intuicyjnego przekonania wolnościowca.

Model centralizacyjny jest — zdaje się — także przykładem przyjęcia najłatwiejszego rozwiązania, jakie w ogóle można sobie wyobrazić. Unika się bowiem refleksji nad rzeczywistymi problemami współczesnych państw i gospodarek, zamiast tego proponuje się ustanawianie jakichś odgórnych recept i norm, które miałyby być *remedium* na wszystkie te problemy, cudownym lekarstwem na chorobę, którą sami sobie zafundowaliśmy, zgodą na rozrastanie się państwa. Redukcja przerośniętej sfery państwowej powinna być zaledwie pierwszym krokiem, następnymi powinny być: zarówno walka z biurokracją, jak też zwiększenie efektywności pracy urzędniczej, racjonalizacja administracji europejskiej, państwowej i samorządowej, uproszczenie prawa i procedur związanych z działalnością gospodarczą, nieingerencja państwa w kwestie indywidualnych wyborów obywateli itd. Niezależnie od tego, czy zgodzimy się na pakt fiskalny bądź jakąkolwiek inną formę odgórnych ograniczeń polityki budżetowej, trzeba najpierw zdać sobie sprawę z tego, że nie przyniesie on większych efektów bez uleczenia przerośniętego, rozbudowanego niemilosierdnego współczesnego państwa, którego nie można już nawet nazwać państwem socjalnym.

W tym kontekście pojawia się jeszcze pytanie o odpowiedzialność i sprawiedliwość. Jeśli w ramach polityki europejskiej przyjmujemy zasadę solidarności i godzimy się na pomoc biedniejszym społeczeństwom, a w ramach pewnych przyjętych za słuszne wartości zgadzamy się na dopłacanie gorzej rozwiniętych, aby ci mogli szybciej się rozwijać

(sami przecież jako Polacy korzystamy z miliardów euro, które otrzymujemy od bogatszych społeczeństw zachodnioeuropejskich), to czy tym samym godzimy się również na pomaganie nieodpowiedzialnym państwom, które zadłużają się ponad miarę, w których w sposób nieracjonalny i wręcz „bandycki” dysponuje się państwowym pieniądzem, a działania państwa hamują indywidualną przedsiębiorczość, uczą lenistwa i pasywności, budują społeczną apatię? Zdecydowanie nie. Zgoda na finansowanie chorych państw i gospodarek wydaje się zwyczajnie niesprawiedliwa w stosunku do tych społeczeństw, których władze starają się w sposób bardziej odpowiedzialny gospodarować majątkiem publicznym. Centralizacja nie jest najlepszym lekarstwem — może lepszym byłoby usunięcie z „elitarnego” klubu tych, którzy sami nie chcą być „elitą” i którzy nie potrafią sprostać „elitarnym” oczekiwaniom? Państwa nieodpowiedzialne *de facto* podejmują decyzję o wykluczeniu się z takiej „elity”.

Czy partie liberalne mają szansę realizacji swoich postulatów, chociażby biorąc pod uwagę uwarunkowania międzynarodowe, szczególnie model ekonomiczny promowany przez Unię Europejską?

Jak dobrze wiemy, partie liberalne w Europie nie należą dziś do najsilniejszych i nie widać na razie żadnych trendów, które pozwalałyby przypuszczać, że w najbliższych latach coś miałyby się zmienić. Istnieje kilka partii liberalnych, które mają aktualnie wpływ na rządzenie współczesnymi państwami europejskimi, jednak jest to zawsze wpływ ułamkowy, wypływający z odgrywania

roli koalicjanta jakiegoś większego ugrupowania politycznego.

W Wielkiej Brytanii Liberalni Demokraci (*Liberal Democrats*) pod wodzą Nicka Clegga współtworzą od 2010 roku rząd konserwatysty Davida Camerona. Partia ta zdobywa ok. 20% głosów, jednak tamtejszy system wyborczy — z racji tego, że partia ta jest zazwyczaj trzecią siłą w parlamencie — nie pozwala jej uzyskać proporcjonalnej do uzyskiwanego poparcia liczby mandatów w Izbie Gmin. Faktycznie od czasów Davida Lloyd-Georga — wyłączam okres II wojny światowej — liberałowie brytyjscy nie współtworzyli rządu, więc i ich wpływ na legislatywę był raczej niewielki.

W Niemczech Wolna Partia Demokratyczna (*Freie Demokratische Partei*) uzyskuje ok. 15% głosów i może liczyć wyłącznie na rolę „partii zawiasowej”, dzięki której socjaldemokraci bądź chadecy mogą stworzyć rząd. W początkach ery powojennej pozycja niemieckiej FDP była zdecydowanie silniejsza, albowiem była to właściwie jedyna partia zawiadowa, a jej rola była silniejsza w stosunku do zdobywanego przez nią poparcia. Ta pozycja liberałów niemieckich zmieniła się po wejściu do Bundestagu niemieckich zielonych, którzy dysponowali i dysponują nieminiejszą zdolnością koalicyjną.

Sytuacja europejskich liberałów przypomina właśnie te dwa przypadki partii liberalnych. Podobnie jest bowiem z Liberalną Partią Kanady (*Liberal Party of Canada*), holenderską Partią Ludową na Rzecz Wolności i Demokracji (*Volkspartij voor Vrijheid en Democratie*; ta pomimo zwycięstw wyborczych, musi tworzyć rządy koalicyjne), bułgarskim Narodowym Ruchem na Rzecz Stabilności i Postępu (*Национално движение за*

стабилност и възход), belgijską (frankofońską) Partią Reformatorsko-Liberalną (*Parti Réformateur Libéral*) czy szwedzką Ludową Partią Liberałów (*Folkpartiet Liberalerna*). Liberałowie europejscy stanowią dziś najczęściej środowiska o charakterze zawiasowym czy pivotalnym, nie mają znaczącego wpływu na zarządzanie państwem, ale mogą w koalicjach rządowych uczestniczyć, bądź takie, które — jak Liberalna Partia Australii (*Liberal Party of Australia*) — pozostają w permanentnym sojuszu z ugrupowaniem konserwatywnym czy chadeckim. Głód władzy często sprawia, że partie te wchodzi do rządu nawet pomimo jego nieliberalnego czy wręcz socjalistycznego charakteru. Część z nich coraz bardziej przeistacza się w ugrupowania socjalliberalne, aby odróżnić się od liberalnych gospodarczo konserwatyistów. Można liczyć jedynie, że liberałowie nie będą wspierali centralizacyjnych działań swoich rządów ani Unii Europejskiej. Z drugiej jednak strony logika władzy zapewne sprawi, że obawiając się utraty stanowisk, niektórzy poprą propozycje socjalistów czy etatystów różnego proveniencji.

Jakie partie liberalne mają szansę na zdobycie popularności: umiarkowanie liberalne (liberalnie pragmatyczne) czy też libertariańskie?

Historia XX wieku pokazuje, że obecność ugrupowań liberalnych pragmatyków stanowi najczęściej warunek *sine qua non* do stworzenia stabilnej koalicji rządowej, zarówno przez chadeków, jak i konserwatyistów, a czasami także przez umiarkowanych socjaldemokratów. Jest to niewątpliwie siła takich ugrupowań. Ugrupowaniami zwycięskimi mogą stać

się wyłącznie te ugrupowania, które łączą liberalizm (na różnym poziomie) z programami politycznymi adresowanymi do szerokich mas społecznych. Przykładem może być chociażby czeska Obywatelska Partia Demokratyczna (*Občanská Demokratická Strana*) czy polska Platforma Obywatelska. Trudno nazwać partie te liberalnymi, gdyż stanowią one dziś hybrydalne przypadki typu *catch-all party*, jednak genetycznie uformowane zostały na bazie środowisk liberalnych, z których postulatami — przynajmniej na poziomie deklaratywnym — nigdy nie zerwały.

Ugrupowania liberalne miałyby szansę na większe poparcie, gdyby — zamiast konserwatyizmu światopoglądowego — deklarowały raczej radykalny liberalizm integralny, czyli przyjmowały obok radykalnego liberalizmu na poziomie ekonomicznym, również radykalny liberalizm aksjologiczny, społeczny i światopoglądowy. Statystyki pokazują, że liberałów częściej popierają ludzie młodzi, czynni zawodowo i dobrze wykształceni — ci częściej deklarują poparcie dla gospodarki kapitalistycznej, a zarazem przyznają się do przekonania liberalnych w sferze światopoglądowej. Widziałbym, więc szansę dla ugrupowań libertariańskich, ale pod warunkiem, że będą one reprezentowały liberalizm integralny, nie zaś liberalizm ekonomiczny przyklejony do konserwatyizmu światopoglądowego. Środowiska tego typu liczyć mogą — niczym amerykańska Partia Herbaciana (*Tea Party*) czy polskie: Unia Polityki Realnej albo Kongres Nowej Prawicy budowane wokół osoby Janusza Korwina-Mikkego — na niewielkie poparcie i w ramach systemu politycznego funkcjonować muszą albo przyklejone do „konserwatywnego wielkiego brata”,

albo unosić się w politycznym niebycie (jak UPR czy KNP).

Formułę przypominającą liberalizm integralny reprezentuje amerykańska Partia Libertariańska (*Libertarian Party*), powołana w 1971 roku, jednak i ona w sferze światopoglądowej pozostaje co najwyżej w centrum sceny politycznej, a w amerykańskim systemie dwupartyjnym nie może liczyć na zdobycie pozycji znaczącej. Zapewne ciekawszą propozycją teoretyczną dla takiego środowiska, grupującego liberałów integralnych, byłoby dzieła Murray'a Rothbarda, uznanego za *ultrasa* i anarchokapitalistę także w gronie libertarian, czy Roberta Nozicka, w mniejszym zaś stopniu Hansa-Hermana Hoppego. Wydaje się, że w dobie przerostu państwa i postępującej nieudolności etatystycznych ugrupowań różnej proveniencji ideologicznej taka odważna i radykalna formuła mogłaby zdobyć pewne poparcie społeczne. Może się jednak okazać, że rację miała Ayn Rand w *Atlasie zbuntowanym*, kiedy przewidywała, że powrót do myślenia wolnościowego będzie możliwy dopiero po ostatecznej kompromitacji pomysłów etatystyczno-centralistycznych. A to znaczy, że przed nami jeszcze długie lata omnipotencji państwa i sfery państwowej, a i krach etatyzmu wedle wizji Rand nie napawa ani optymizmem, ani nadzieją.

Czy według Pana w najbliższej przyszłości dojdzie do nowego podziału ideologicznego, który podzieli przestrzeń polityczną na libertarian i komunitarystów?

Wątpię. Współczesny podział na lewicę i prawicę, państwowców i wolnościowców, socjalistów i leseferystów wyda-

je się być niezagrożonym — w każdym razie niezagrożonym na poziomie werbalnym, deklaratywnym. Wszak lewica i prawica dziś, pięćdziesiąt lat temu i sto lat temu, to trzy odmienne czasoprzestrzenie. Niewykluczone, że za dwadzieścia lat będziemy mieli na scenie politycznej samych socjalistów, ale nadal jednych będziemy nazywać lewicą, drugich zaś prawicą. Zmieniają się społeczeństwa i zmienia się również scena polityczna, pojęcia zaś niejednokrotnie po prostu zmieniają swoje znaczenie, dostosowując się do przebudowującego się otoczenia. Przecież jeśli przyjrzymy się współczesnym partiom politycznym, to okaże się, że pod względem aksjologicznym większość z nich reprezentuje liberalizm, a pod względem gospodarczych większość jest w jakimś stopniu socjalistyczna czy socjalliberalna. Scena polityczna zbliżyła się w ostatnim półwieczu do centrum i gdyby stosować kryteria z okresu dwudziestolecia międzywojennego, wówczas okazałoby się, że zniknęły bezpowrotnie partie socjalistyczne i konserwatywne, gdyż środowiska te wyrugowały ze swoich programów wątki najbardziej radykalne. Partie polityczne Europy i Stanów Zjednoczonych przyłączyły się do powszechnego kompromisu liberalno-kapitalistyczno-demokratycznego, przez co dzisiejsza lewicowość i prawicowość są sobie tak bliskie, jak nigdy wcześniej nie były.

Zdaje się więc, że werbalny podział na lewicę i prawicę może się utrzymać, jednak niekoniecznie będzie on niósł sobą wciąż te same sensy. Nie zdziwiłbym się, gdyby za jakiś czas prawica stała się bardziej socjalna (sic!) od socjaldemokratów. Dochodzi do tego jeszcze kwestia swoistości lokalnych, a mianowicie w różnych krajach odmiennie de-

finiuje się najistotniejsze osie sporu między lewicowością i prawicowością, inne czynniki ideologiczno-programowe uzyskują rangę cech dystynktywnych prawicowości i lewicowości. Spójrzmy chociażby na socjalny program gospodarczy i społeczny Prawa i Sprawiedliwości, uznawanego za partię prawicową. Era postpolityczna przynosi niekoniecznie odejście od wszelkich ideologii, ale ich wymieszanie, a przy tym wyrugowanie elementów ekstremistycznych.

W Polsce zauważyć można (wcześniej ten proces miał miejsce w Europie Zachodniej) proces wykorzystywania liberalizmu przez ugrupowania odwołujące się w sferze wartości do postulatów lewicowych. W sferze gospodarczej chociażby Ruch Palikota trudno określić jako lewicowy. Natomiast obyczajowo oscyluje wokół tradycji antyklerykalnych, feministycznych oraz ekologizmu. Czy przypadek Ruchu Palikota pokazuje, że tradycyjne partie liberalne, odnoszące się zawsze z pewnym dystansem do demokracji, wybierający wolność ponad równość, straciły rację bytu, a elementy gospodarczego programu liberałów będą przejmowane przez nową lewicę?

Paradoksalnie może się okazać, że Ruch Palikota jest bardziej liberalny od niektórych deklaratywnie liberalnych ugrupowań europejskich. Na pewno Janusz Palikot jest jednym z tych, którzy dostrzegli korelację między popieraniem gospodarki wolnorynkowej, a przyznawaniem się do liberalnych przekonań światopoglądowych. Można by rzec, że były przewodniczący komisji „Przyjazne Państwo” próbuje — w sposób intencjonalny bądź

nie — zbudować ugrupowanie, które byłoby bliskie liberalizmowi integralnemu. Wszak przyjmowanie haseł antyklerykalnych czy feministycznych niekoniecznie musi czynić z J. Palikota lewicowca (czy tym bardziej lewaka — jeśli w ogóle będziemy chcieli odróżniać jedno od drugiego). Jeśli sobie przypomnieć historię liberalizmu europejskiego, to okaże się, że większość liberałów klasycznych i demokratycznych miało dość zdystansowany stosunek do religii, a liberałowie francuscy, niemieccy czy czescy najczęściej byli właśnie antyklerykalni. Powiedziałbym, że stosunek do Kościoła katolickiego i religii zbliża wręcz J. Palikota do liberałów XIX-wiecznych.

Podobnie rzecz się ma z emancypacją kobiet: to liberał J. S. Mill — niezależnie od rzeczywistego wpływu, jaki miała bądź mogła mieć na niego jego żona — jako pierwszy podjął tę problematykę, a nie lewica. Kiedy lewica klasyczna walczyła o prawa robotników, liberałowie mówili już o prawach kobiet. Pamiętać też trzeba, że istnieją różne odmiany feminizmów: zarówno te bardziej lewicowe, kolektywistyczne w swoim myśleniu o społeczeństwie i o płci, ale także nurty bardziej indywidualistyczne, a także feminizm katolicki, tzw. katofeminizm, czy też teologia feministyczna. Nie można zapomnieć, że również Jan Paweł II widział perspektywę dla stworzenia tzw. nowego feminizmu, mocno zrośniętego z teologią katolicką. Okazuje się więc, że samo poruszanie wątków feministycznych niekoniecznie musi umiejscawiać dane środowisko po lewej stronie sceny politycznej. Polski feminizm w ogóle w większym stopniu przypomina jeszcze feminizm drugiej fali aniżeli feminizm poststrukturalistyczny, choć oczywiście nurty marksistowskie stają się z biegiem cza-

su coraz bardziej wpływowe. Dopiero feminizm trzeciej fali trzeba by określić jednoznacznie lewicowym, a tego w Ruchu Palikota jeszcze nie dostrzegam jako nurtu dominującego.

Istnieje szansa, aby J. Palikot zbudował ugrupowanie odwołujące się właśnie do liberalizmu integralnego, czyli łączące w sobie postulaty liberalizmu ekonomicznego z liberalnym podejściem w kwestiach światopoglądowych i obyczajowych.

Pytanie postawione przez Państwa można by również trochę przekształcić. Można by bowiem zapytać, czy nie jest czasem tak, że ugrupowania liberalne, celem poszerzania swojego elektoratu, będą przejmować niektóre postulaty lewicowe? Tak bym to widział w przypadku Ruchu Palikota: jest to środowisko budowane na liberalnej bazie (choć niewiele wiemy o części działaczy tego ugrupowania), wkomponowujące w swój program niektóre postulaty kojarzone z tzw. lewicą kulturową (niektórzy nazywają to nową lewicą). Z dużym prawdopodobieństwem jest to zabieg pragmatyczny, ale z politologicznego punktu widzenia — dopełniający polską scenę polityczną. Skoro tzw. elektorat socjalny został zagospodarowany przez prawicowy PiS, to jakaś partia polityczna powinna również przejąć elektorat liberalny światopoglądowo, ale także „nowo-lewacki”. Takim tworem może być RP — wszystko jednak zależy od dalszych

posunięć Palikota, od przyjmowanych priorytetów, a także środowisk, które zaangażują się w ten projekt.

Problemem jest na pewno fakt, że w partii tej znaleźli się niejednokrotnie ludzie przypadkowi, poszukujący dla siebie miejsca w sferze publicznej, niekoniecznie refleksyjnie zorientowani względem dalekosiężnych planów politycznych. Nie należą jednak do tych, którzy tę cechę tego środowiska traktują jako bezdyskusyjnie negatywną. Nie sądzę również, aby pragmatyzm J. Palikota — niektórzy nazwą tę postawę zwyczajnym koniunkturalizmem — dyskwalifikował go jako ewentualnego przywódcę nurtu liberalno-lewicowego czy integralno-liberalnego. Biorąc pod uwagę realia współczesnej polityki, prymat badań opinii i sondaży, nieustannie rosnącą rolę marketingu politycznego, *public relations* i socjotechnik czy też postępującą marketingizację wizerunków polityków, stworzenie partii politycznej o w miarę spójnej ideologii i programie politycznym, kierując się w pierwszej kolejności zapotrzebowaniem rynku, wydaje się całkiem realne. Jeśli partia Palikota okaże się „strzałem w dziesiątkę”, co będziemy mogli powiedzieć dopiero za kilka lat, będzie to dowód, że polityka uległa już pełnemu urynkowieniu, a sukces polityka możliwy jest wyłącznie przy zaangażowaniu szerokiego sztabu doradców i fachowców: politologów, socjologów, pijarowców, speców od reklamy i wizerunku.

